



# Czerwone Wierchy – i nie tylko one

*Czerwone Wierchy (2122 m). 4 kopulaste szczyty w 4-kilometrowym odcinku głównego grzbietu: Ciemniak (2096 m), Krzesanica (2122 m), Małolączniak (2096 m) i Kopa Kondracka (2005 m) – pisze w swym przewodniku „Tatry” Józef Nyka. Tenże autor daje lakoniczną charakterystykę interesującego nas masywu: Łatwo dostępne, a urocze krajobrazowo, były Czerwone Wierchy już w połowie w. XIX celem częstych wycieczek szczytowych. Dziś odwiedzane są b. licznie. Teren jest pozbawiony trudności, ale zdradliwy. W razie mgły lub niepogody łatwo zabłądzić – należy wówczas trzymać się głównej linii grzbietu (słupki graniczne) i kierunku wschód–zachód. Schodzenie w bok bez szlaku może grozić nawet śmiercią<sup>1</sup>.*

Zagrożenie tkwi w tym, że obłe, porośnięte wspaniałą murawą szczyty obrywają się niepostrzeżenie ku północy pionowymi wapiennymi zerwami. Ratownicza statystyka jest tu brutalnie wymowna, podaje bowiem, że w rejonie Czerwonych Wierchów Pogotowie przeprowadziło ponad sto wypraw, znosząc wielu zabitych.

W „Księdze wypraw” ten rozległy masyw pojawia się dość wcześnie: 15 września 1910 r. twórca Pogotowia zarządził poszukiwania Zygmunta Nagaya, który nie powrócił do Zakopanego z wycieczki na Giewont. Ostatni raz widziano go wraz z towarzyszem poprzedniego dnia

---

<sup>1</sup> J. Nyka, *Tatry. Przewodnik turystyczny. Tatry Polskie i Słowackie*, wyd. II, Warszawa 1994.

## WOŁANIE W GÓRACH

po południu w rejonie Przełęczy pod Kopą Kondracką. *Nagay Tatr nie zna. Tęgi, blondyn, wysoki, koszula szara, buty miejskie świeżo okute, palto grube, ciupaga lekka, wzrok krótki. Zapasów żywności nie miał wcale* – zanotował Zaruski. W pierwszej kolejności przeszukiwano północne zbocza masywu Giewontu i Kopy Kondrackiej, nie zanedbując jednak i dalszych okolic. To był właściwy trop. Okazało się, że mężczyzna zszedł na drugą stronę grani i dopiero nisko w dolinie spotkał juhasów, którzy go przez Liliowe odprowadzili do Hali Gąsienicowej. Zmęczonego i wygłodzonego, bo przez półtorej doby *nie miał nic w ustach*.

Pierwszy znany wypadek zdarzył się latem 1912 r. M. Zaruski zanotował w „Księdze wypraw”: *Dn. 8 VII dr Ludomir Sawicki, spotkawszy mię na Krupówkach koło godz. 8 wieczór, oznajmił, że prowadząc naukową wycieczkę słuchaczy Uniw. Jagiellońskiego z Dol. Kościelskiej na Przeł. Tomanową i Czerwone Wierchy do Zakopanego, pod szczytem Krzesanicy ok. 50 m po stronie południowej zostawił jedną z uczestniczek, pannę Aldonę Szystowską; gdy zaś w ciągu 15 min nie połączyła się ona z resztą towarzystwa, zaczęto poszukiwania, które jednak nie dały żadnego rezultatu (...). Panna Szystowska miała na sobie bluzkę szarą w kratki, spódnica czarna, buty zwykłe miejskie, kapelusz zw. awiator, worek turystyczny, zapasów żywności mało, laski nie miała.*

Nazajutrz rozpoczęto poszukiwania zakrojone na niebywałą skalę. O wysiłku organizacyjnym TOPR najlepiej świadczy ten oto wykaz: 9 lipca – 12 osób, 10 – 16, 11 – 16, 12 – 20, 13 – 26, 14 – 3, 17 – 13, 18 – 13. Przeszukiwano cały rejon od Giewontu po Ornak i od regli po słowackie doliny – bezskutecznie. Ratownikom przyszli z pomocą koledzy zaginionej i turyści.

Wiadomo, że w poszukiwaniach brał także udział Julian Marchlewski, który tak pisał o tym w liście do żony (z 14 lipca): *Robota była twarda, gdyż trzeba było obszukać całą Dolinę Tomanową porośłą kosówką, trzeba było drzeć się poprzez kosówkę, zachodzić za każdy kamień, przypuszcza się bowiem, że mogła zmęczona siąść gdzie i zemrzeć. Na tym zszedł piątek. Przenocowaliśmy pod gołym niebem. Przewodnicy zrobili w mig kolibę, tj. szałas z drzew urąbanych, ściany z gałęzi, pościel z drobnych gałęzi; rozpałiło się wiatrę, ognisko ogrom-*

*ne, takie, że wołu by upiekł na nim. Członkowie Pogotowia mieli swoje worki do spania, ja nie miałem. Noc była na szczęście pogodna, lecz nie mogłem zasnąć, przesiedziałem całą noc przy ognisku. Przyszły w to miejsce inne oddziały Pogotowia, które przeszukały inne doliny.*

*Nazajutrz w sobotę przeszliśmy inną drogą do Czerwonych Wierchów i zaczęła się najtrudniejsza część: przeszukiwanie skał Krzesaniicy (głazów z Czerw. Wierchów). Tu mogła bowiem też zwrócić się, lecz są to skały groźne, urwiska, w których człowiek nieznający gór nie poradzi sobie, zabije się. Rozdzielono nas znowu na oddziały i poszliśmy drzeć się po wszystkich urwiskach, zając na każdą grzędę, półkę, zachodzik. Niektórzy musieli spuszczać się po linach na 30 metrów. Ja byłem w oddziale, który miał przeszukać żleb ku Pisanej Skale, miejsce mniej karkołomne, ale strasznie uciążliwe. Więc znów szliśmy rozdzieleni, włączając na każdy załom skały, drąc się do miejsc najbardziej niedostępnych. Wieczorem zeszli się wszyscy w restauracji w Kościeliskiej Dolinie i stamtąd przyszliśmy do Z., niestety, bez najmniejszego rezultatu. Zharowałem się diabelnie, ale nie żałuję, gdyż były po drodze rzeczy bardzo ciekawe<sup>2</sup>.*

Cytuję dość obszernie Marchlewskiego, jego list jest bowiem interesujący i jako swoisty reportaż z poszukiwań, i – co równie ważne – jako przyczynek do psychologii ratownictwa. Jakże znamienne brzmi ostatnie cytowane tu zdanie. Ci, którzy oczekiwali wzniosłych słów o zaginionej turystce, filozoficznych rozważań o znikomości życia ludzkiego, peanów na cześć dzielnych ratowników, którzy z narażaniem się, ale bez lęku pełnili swą szlachetną powinność, poczuli się zapewne niemile zaskoczeni. Rzeczywiście, kontrast pomiędzy czynem a słowem jest bardzo jaskrawy, ale jest to sprawa na tyle typowa, że wydobyłem ją na jaw. Otóż Marchlewski pisał tak, jak napisałby każdy początkujący ratownik. Tu jednak konieczne jest wyjaśnienie. Wyprawa ratunkowa to przede wszystkim problem moralny i organizacyjny dla kierownika, ale im niżej w hierarchii, tym te trudne zagadnienia stają się bardziej abstrakcyjne. Dla szeregowego ratownika to przede wszystkim przedsię-

---

2 J. Marchlewski, *Listy do żony i córki*, słowo wiążące Z. Marchlewska, oprac. B. Wróblewska, Warszawa 1975, s. 179. Oryginał listu po niemiecku. Por.: A. Uziembło, *Ludzie i Tatry*, wstępem opatrzony A. Leinwand, Kraków 1987, s. 133–160.

## WOŁANIE W GÓRACH

wzięcie transportowe – trzeba przecież wynieść sprzęt, jedzenie – wymagające znajomości terenu i specjalnych kwalifikacji psychicznych oraz fizycznych. Wyprawa to mozół, a wyprawa poszukiwawcza to mozół szczególnie – w górę, w dół, znów w górę, godzina za godziną, a efektów nie widać. Nieco inaczej na tę sprawę patrzy turysta czy taternik, który bierze udział w akcji. U takiego uczestnika, niezależnie od emocji i wzruszeń (wynikających ze świadomości, że ratuje ludzkie życie!), w którymś momencie do głosu dochodzi wstydliwie skrywana radość obcowania z przyrodą i upajanie się niezwykłością sytuacji. Nieskromnie mogę powiedzieć, że rozumiem Marchlewskiego, bo podobnych uczuć sam doznawałem jako kandydat na ratownika. Mogę nawet wydzielić cztery fazy odczuwania i refleksji, które obserwowałem nieraz w czasie trwania jednej wyprawy:

– Ostra świadomość, że ktoś oczekuje pomocy, chce się biec samemu; wzmożona nerwowość.

– Skoncentrowanie się na czynnościach technicznych. Na tym etapie pojawia się radość z uczestniczenia w przygodzie, tym większa, im wyższa jest osobista sprawność fizyczna; nerwowość dawno już ustąpiła.

– Znużenie wielogodzinnym staniem na stanowisku asekuracyjnym czy z pozoru bezsensownym wałęsaniem się wśród złomów skalnych, zazwyczaj w deszczu i we mgle.

– Reakcje po akcji: niedająca się z niczym porównać satysfakcja, że ma się swój udział w uratowaniu człowieka, albo dręczące myśli, czy wszystko zostało zrobione zgodnie z wymogami ratowniczego rzemiosła; ten cień wątpliwości pojawia się dopiero przy dużym doświadczeniu, początkowo jest się tylko kółeczkiem maszyny, którą nakręca nieomylny kierownik.

Paradoksalnie więc oczekujący pomocy jest usuwany niejako na plan dalszy. Tak przynajmniej przedstawia się to dla obserwatora z zewnątrz, przysłuchującego się rozmowom ratowników: dużo tam jest o pogodzie, terenie, kierowniku, a „klient” pojawia się w swym czysto fizycznym bycie. Nawet po latach ratownicy pamiętają nie nazwisko rannego, ale pogodę, gdy rozgrywała się akcja, i przede wszystkim, czy była to lekka kobieta, czy też ciężki, „nabity” mężczyzna, pod którym ugięły się ramiona niosących go w dolinę. W sprawozdaniach z wypraw, a także w rozmowach prywatnych z zasady nie używa się wiel-

kich słów. Ta oszczędność prowadzi czasem do tego, że opis akcji staje się suchym raportem, z którego trudno odczytać rzeczywisty przebieg wyprawy.

Ratownicy ze szczególną niechęcią odnoszą się do wszelkich prób, czynionych czasem przez ambitnych dziennikarzy, pogłębionego spojrzenia na ich pracę. Nieodmiennie w takich sytuacjach uciekają w oficjalny, gazetowy ton albo – przy bliższym poznaniu indagującego – popisują się „czarnym humorem toprowskim”. Rodzi się wtedy wiele nieporozumień i powstają nowe mity, jak choćby ten o znieczulicy na ludzkie cierpienie, na którą rzekomo chorują zawodowi ratownicy. Wytworzyło się więc swego rodzaju błędne koło – wokół ratowników narosła legenda (wsparta postacią K. Bachledy), kreująca ich na bohaterów nieznaną, co to lęk, i sami ratownicy znaleźli się w jej sidłach. Nic więc dziwnego, że zastosowali szczelną blokadę i nie ujawniają swych prawdziwych odczuć i wrażeń, jakby się bali, że zburzą usankcjonowany tradycją obraz ratownika. Jest to tym ciekawsze, że naprawdę nie mają nic do ukrywania, nic, co byłoby nieuzasadnione psychologicznie, a nawet fizjologicznie.

Kończąc tę przydługą dygresję, wypadnie zauważyć, że opisów bezpośrednio dotyczących psychiki ratownika nie ma zbyt wiele i szeroki ogół ma dość powierzchowne wyobrażenia na ten temat. Być może niniejsza książka odsłoni nieco tę skrupulatnie pomijaną kwestię, ale i tak będzie to niepełne, a co gorsza, zapewne dalekie od obiektywizmu.

Wróćmy jednak na Czerwone Wierchy, gdzie trwają poszukiwania Aldony Szystowskiej. Niemal cały czas z ratownikami współpracował Ludomir Sawicki, obciążający w pewnym sensie siebie za zaistniałą tragedię. Wszyscy wiedzieli, że nie szukano żywej. Tę ponurą pewność ratownicy mieli już po paru dniach. Wciąż jednak była znikoma szansa, cień nadziei – może gdzieś w opuszczonym szałasie... Sprawdzony *agent z Katowic z psem policyjnym* okazał się całkowicie bezradny. Jeszcze tylko rodzice nie mogli się pogodzić. Starostwo w Nowym Targu 23 lipca opublikowało „obwieszczenie” następującej treści: *Dnia 9 lipca br. [pomyłka – jak wiadomo, było to 8 lipca – M.J.] podczas wycieczki urządzonej w okolicy Czerwonych Wierchów w Tatrach uczestniczka tejże, Aldona Szystowska, rodem z Kowna, słuchaczka na uniwersytecie w Krakowie, zaginęła i pomimo poszukiwań nie mogła być odzyskana.*

## WOŁANIE W GÓRACH

*Na żądanie rodziców zaginionej c.k. Starostwo w Nowym Targu ogłasza niniejszym nagrodę za znalezienie powyższej, a w szczególności 2000 K za znalezienie żywej, a 500 K za odnalezienie zwłok.*

*Zastrzega się jednakowoż, iż nagroda wypłaconą zostanie tylko w takim razie, o ile znalezienie nastąpi w przeciągu dwóch tygodni od dnia ogłoszenia niniejszego obwieszczenia.*

*Rysopis zaginionej: lat 21, wzrost słuszny, szatynka.*

*W dniu wypadku ubrana była: w szarą suknię w kratki, czarny palto-cik, czapeczkę sportową żółtą.*

*Ktokolwiek by powyższą bądź żywą, bądź też zwłoki jej odnalazł, zechce o tym bezzwłocznie donieść c.k. Starostwu w Nowym Targu, lub też c.k. Inspektorowi Stacji Klimatycznej w Zakopanem.*

Być może ktoś dostrzegł, że opis zaginionej różni się w szczegółach od podanego w „Księdze wypraw”. I to również jest typowe. Wśród prawników panuje przekonanie, że największy kłopot bywa z naocznymi świadkami. Podobnie wygląda sprawa z zaginionymi w górach. Jakże trudno jest odtworzyć dokładnie na przykład ubiór kogoś, kto niespodziewanie zniknął nam z oczu. Byliśmy z nim przez kilka godzin, patrzyliśmy na niego, a potem okazuje się, że obraz, jaki zachowaliśmy, różni się znacznie od rzeczywistości.

Po dłuższej przerwie, 1 sierpnia, znów wyruszyła na poszukiwanie ekipa, złożona tym razem z dwunastu ratowników: *Od Miętusiej przez Kobylarz ku Wielkiej Turni, którą od góry i od dołu czterokrotnie przeszukiwano przedtem. Ze Zdybem udaliśmy [się] w żleb główny. Tam, w 30 m kominie u góry, dostrzegł Zdyb worek turystyczny śp. Szystowskiej. Postępując dalej, gdy w dolnych partiach wychyliłem się asekurowany przez Zdyba na linie, dostrzegam w żlebie na progu skalnym zwłoki śp. Szystowskiej – zanotował Zaruski.*

*Nazajutrz z 7 członkami straży (...) udałem się na miejsce i zwłoki zaszyte w płótno spuściłem na piargi. Stąd odniesiono je do wozu i ułożono w trumnie.*

Tak zakończyła się dla młodej dziewczyny wycieczka łagodną granią Czerwonych Wierchów. Wystarczyło parę minut, jeden obłok mgły, aby spiesząc za grupą, pomyliła drogę i skręciła na północ ramieniem Wielkiej Turni. Teren jest tam wszędzie bardzo podobny. Obłe skłony porośnięte są trawą, czasem zajaśniejnie jakaś wapienna skałka, czasem jakiś

(...)



## WOŁANIE W GÓRACH

Przesuńmy się teraz na wschód. 2 grudnia dwójka młodych turystów z Krakowa wyszła z Kasprowego z zamiarem dojścia do Przełęczy pod Kopą Kondracką. Trudne warunki atmosferyczne i śniegowe znacznie przedłużały wycieczkę. Turyści, będąc na Suchych Czubach i widząc, że mogą nie zdążyć dojść przed zmrokiem do przełęczy, postanowili schodzić na skróty. Schodząc, spadli kilkadziesiąt metrów do Doliny Suchej Kondrackiej. W wyniku upadku jeden z nich doznał – jak się później okazało – śmiertelnych obrażeń, drugi zaś na kilka godzin stracił przytomność. Gdy oprzytomniał, przez telefon komórkowy powiadomił TOPR, jednak jego informacje były na tyle niejasne i sprzeczne, że ratownicy nie mogli ani zlokalizować miejsca wypadku, ani zorientować się, co się dokładnie stało. Drogą dedukcji doszli do wniosku, że wypadek ma najprawdopodobniej miejsce w rejonie Suchych Czub, ale nie wiadomo, czy po stronie Doliny Cichej, czy Suchej Kondrackiej. Z Centrali wyruszyły patrole ratowników w celu zlokalizowania miejsca wypadku, za nimi zaś główna grupa, transportująca sprzęt ratunkowy i środki transportu dla rannych. O godzinie 22.50 jeden z patroli odnalazł dwójkę turystów w Dolinie Suchej Kondrackiej. Maciej J., lat 20, był martwy. Jego kolega był mocno wychłodzony.

Transport odbywał się w bardzo trudnych warunkach przy dużej ilości świeżego padającego śniegu. Akcja ratunkowa, w której wzięło udział 16 ratowników, trwała do godziny 3.30 – zanotował kierujący wyprawą Adam Marasek.

Minęły dwa tygodnie i kolejny alarm: 16 grudnia, o godzinie 4.05 rano turyści poinformowali TOPR przez telefon, że schodząc z Małołączniaka do Doliny Miętusiej, zgubili we mgle i w zadymce szlak. Wykopali jamę śnieżną, w której schronili się przed wiatrem i mrozem. Nie zejść sami, bo nie wiedzą jak. Są już trochę wychłodzeni. Proszą o pomoc. Z Centrali wyruszyła 10-osobowa grupa ratowników. W trudnych warunkach atmosferycznych, przy ograniczonej widoczności, przebijali się przez duże zaspas nawianego śniegu i o godzinie 9.30 dotarli do oczekujących na pomoc turystów. Po ogrzaniu ich i napojeniu gorącą herbatą sprowadzono ich na Zahradziska i przewieziono samochodem do Zakopanego – czytamy w „Wierchach”<sup>14</sup>.

---

14 A. Marasek, *Kronika ratownicza TOPR w 2001 roku*, „Wierchy” 2001.

## CZERWONE WIERCHY – I NIE TYLKO ONE

Akcją kierował Jan Tybor.

10 stycznia 2002 r. tuż przed 17.00 powiadomiono TOPR, że na Przełęczy Kondrackiej znajduje się 15-osobowa grupa młodzieży – w adidasach, bez czapek i rękawiczek – która nie jest w stanie zejść bezpiecznie po twardych stromych śniegach. Przybyli na miejsce ratownicy, asekurując linami, sprowadzili całą grupę do schroniska na Kondratową i później do Kuźnic. Cała akcja zakończyła się o 22.30 – pisze niezawodny Marasek.

Grupkę niestosownie obutą sprowadzali Maciej Latasz i Łukasz Wiercioch. Wszystko dobrze się skończyło. Nie zawsze tak bywa.

2 lutego o godzinie 21.45 do Centrali TOPR zadzwoniła turystka, informując, że o godzinie 13.30 w Dolinie Kościeliskiej rozstała się z mężem, który postanowił przejść przez Czerwone Wierchy i zejść do Doliny Małej Łąki. Nie miał światła ani dobrego zimowego wyposażenia. O godzinie 22.50 wyruszyła grupa 8 ratowników na poszukiwania w rejonie Czerwonych Wierchów. Ratownicy, podzieleni na zespoły, sprawdzili szlaki w tamtym rejonie. Poszukiwania, prowadzone do 5.00, nie przyniosły rezultatu. Wznowiono je rano. Szesnastu ratowników oraz śmigłowiec przeszukiwało masyw Czerwonych Wierchów i przyległe granie. O godzinie 12.35 jeden z patroli natknął się w Małej Świstówce na zwłoki poszukiwanego (...). Przyczyną wypadku było poślizgnięcie na stromych i twardych śniegach i kilkusetmetrowy upadek (turysta był w butach typu adidas) – pisano w „Wierchach”.

Ratownicy prowadzeni przez Jana Krzysztofa oddali ostatnią posługę Damianowi W., lat 40.

10 marca po godzinie 22.30 jeden z turystów poinformował Centralę TOPR przez telefon komórkowy, że jego kolega spadł z grani do Doliny Mułowej. W wyniku kilkudziesięciometrowego upadku doznał prawdopodobnie złamania żeber i mocnych potłuczeń, ale jego stan jest na tyle dobry, że zabiwakują do rana, gdyż są dobrze wyposażeni. Rano zadzwonił z informacją, że noc minęła im w miarę dobrze, ale potrzebna jest pomoc, gdyż ranny kolega jednak nie da rady schodzić o własnych siłach. Z Zakopanego wystartował śmigłowiec, ale ponieważ silny wiatr uniemożliwiał dotarcie w rejon biwakowania turystów, z Centrali wyruszyła ekipa ratowników. W tym czasie podjęto kolejną próbę użycia śmigłowca. Tym razem udało się

## WOŁANIE W GÓRACH

wysadzić ratowników na Wielkiej Turni, skąd dotarli oni na miejsce wypadku. Zaopatrzywszy rannego, doprowadzili go w miejsce dogodnie do przyziemia śmigłowca. Mimo silnego wiatru śmigłowiec zabrał rannego z Wielkiej Turni i przetransportował go do szpitala.

Wyprawą kierował M. Kołodziejczyk, ekipę stanowili: A. Blacha, P. Bukowski, Stanisław Krzeptowski Sabała, R. Szadkowski. Śmigłowiec pilotował W. Wiejak.

16 lipca, o godzinie 13.20 zadzwoniła do TOPR zaniepokojona kobieta, informując, że przed chwilą zadzwonił do niej jej 10-letni syn z wiadomością, że szli z tatą na Czerwone Wierchy. Ojciec nagle bardzo źle się poczuł, a on nie wie, co robić. TOPR-owi udało się skontaktować z synem, ale nie potrafił on wskazać miejsca, gdzie się znajduje. Szczęściem nieopodal przechodził jakiś turysta, który przekazał informację o miejscu wypadku, nadto dodał, iż – według niego – stan turysty jest bardzo poważny. Wystartował śmigłowiec. Przyziemił na szlaku w rejonie Pieca, w pobliżu miejsca wypadku. Lekarz, stwierdziwszy, że poszkodowany nie daje oznak życia, rozpoczął reanimację, która, niestety, nie przyniosła rezultatu. Roman Mazik, lekarz-ratownik, stwierdził zgon Wojciecha B., lat 49. Na nic zdały się wysiłki ratowników i pilota Henryka Serdy.

Pod koniec grudnia w godzinach wieczornych pewien mężczyzna informuje przez telefon komórkowy, że wraz z żoną i dwójką małych dzieci pobiłdził w rejonie Chudej Turni. Po dłuższej rozmowie udało się ustalić, że turyści najprawdopodobniej znajdują się nad Trzynastoma Prokami. Z Centrali wyruszyła ekipa ratowników. O godzinie 19.30 ratownicy odnaleźli poszukiwanych turystów w rejonie Uplązkowej Turni. Po zaporczerwaniu najbardziej stromego, liczącego ok. 250 m odcinka, rozpoczęto sprowadzanie całej rodziny do Wąwozu Kraków i nim do Doliny Kościeliskiej. Turystów dostarczono do Zakopanego około 23.00. Do wypadku z pewnością by nie doszło, gdyby tata – głowa rodziny – posiadał elementarną wiedzę topograficzną o tym rejonie – powiada cytowany autor<sup>15</sup>.

Dodajmy: akcją kierował M. Ziach, terenowy samochód prowadził Jan Stawowy, a ekipę stanowili: Stanisław Krzeptowski Sabała, Bartosz

---

15 Tenże, *Kronika ratownicza TOPR w 2002 roku*, „Wierchy” 2002.

Zwijacz Kozica, Jan Polak i Paweł Rehlich. Aha, chłopcy, których rodzice wyciągnęli zimą na Czerwone Wierchy, mieli 5 i 9 lat.

Czerwone Wierchy odwiedzane są masowo przez turystów, natomiast rozległe i trudne technicznie jaskinie są głównym poligonem grotołazów, a pionowe wapienne zerwy przyciągają wspinaczy. Ten rozległy i skomplikowany pod każdym względem rejon szczegółowo opisał, właśnie od strony alpinistycznej, Władysław Cywiński w swym dziele pt. „Tatry. Przewodnik szczegółowy” (t. 2 – „Czerwone Wierchy, część zachodnia”, t. 3 – „Czerwone Wierchy, część wschodnia”). Do najbardziej znanych rejonów wspinaczkowych należą tu: Kazalnica Miętusia, Wielka Turnia i Mnichy Małołackie.

Pod koniec stycznia 2003 r. podczas wspinaczki na Mnichach odpadł taternik. *W wyniku prawie 60-metrowego lotu (po drodze powyrywał wszystkie przeloty) i uderzenia o ścianę – doznał poważnego złamania kręgow szyjnych i ogólnych mocnych potłuczeń. Partnerzy opuścili go do podstawy ściany i powiadomili TOPR. Ratownicy po dotarciu na miejsce wypadku zaopatrzyli rannego taternika i – ze względu na rodzaj kontuzji – bardzo ostrożnie przetransportowali go do wylotu Doliny Małej Łąki, gdzie przekazali go karetce Pogotowia. Wyprawa prowadzona była w trudnych warunkach atmosferycznych, po dużym opadzie mokrego śniegu, który bardzo utrudniał transport rannego. Kosztowało to ratowników sporo sił – powiada Adam Marasek, kierujący tą wyprawą. Wymieńmy więc całą drużynę: lekarz Przemysław Guła, Maciej Latasz, Jan Tybor i Krzysztof Długopolski.*

Jest tu też okazja, aby zauważyć, że czasem ratownicy zastają potrzebującego pomocy pod ścianą albo przy otworze jaskini – jego partnerzy zajęli się opuszczeniem kolegi ze skalnej zerwy na piargi czy też zdołali wyprowadzić kontuzjowanego z czeluści na powierzchnię. Oczywiście możliwe jest to niezbyt często, ale warto odnotować tę spontaniczną i zarazem fachową pomoc, jaką świadczą taternicy swym partnerom. Podziękujemy im za to chociaż w tej formie.

Sięgnijmy jeszcze raz do „Kroniki” publikowanej w „Wierchach”: *28 grudnia grotołaz, idący z Jaskini pod Wantą w kierunku Kobylarzowego Zlebu, został zdmuchnięty przez silne uderzenie wiatru i spadł około 20 m na skalną półkę. W wyniku upadku złamał nogę. Wypadek miał miejsce przy bardzo silnym wietrze i bardzo ograniczonej widoczności.*

## WOŁANIE W GÓRACH

13-osobowa ekipa ratowników wyruszyła na pomoc. Przy zapadającym zmroku zlokalizowano miejsce, gdzie na pomoc oczekiwał ranny. Po dotarciu na miejsce i udzieleniu pierwszej pomocy umieszczono go w noszach francuskich i metodą improwizacji opuszczono do Kobylarzowego Żlebu. Stamtąd przetransportowano rannego na Wyżnią Polaną Miętusią i dalej skuterem do Zahradzisk, skąd zabrany został samochodem do szpitala. Cała akcja ratunkowa, przeprowadzona w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, trwała ponad 8 godzin<sup>16</sup>. Kierował nią Roman Kubin, a wśród ratowników widzimy też lekarza – Sylwiusza Kosińskiego.

Rejon Czerwonych Wierchów kończy się na zachodzie na Przełęczy Tomanowej. Idąc dalej na zachód główną granią, i zarazem państwową granicą między Polską a Słowacją, zapuszczamy się w tereny zamknięte dla turystów: pierwszy szlak turystyczny wyprowadzony od północy, czyli od polskiej strony, napotykamy dopiero na Błyszczu. Tomanowy Wierch, Smreczyński, Kamienista, Pyszniańska Przełęcz – to ścisły rezerwat, godzien pieczołowitej ochrony. Jeśli jednak ktoś postanowi tam iść, to – mówię to tylko teoretycznie – ma do wyboru dwie drogi: ściśle granią albo nikiłą percią trawersującą Kamienistą i Smreczyński po północnej stronie, wysoko ponad górną granicą lasu.

Pod koniec listopada właśnie podczas trawersowania Kamienistej poślizgnęła się na twardych śniegach i spadła kilkadziesiąt metrów żlebem Aleksandra N., lat 32. Uderzyła w wystające kamienie i zginęła na miejscu. Aleksandra miała z sobą raki, ale – schowane w plecaku. Gdyby szła w rakach, zapewne cieszyłaby się życiem. Gdyby...

Skoro jesteście przy rakach... W połowie marca 2004 r. podczas schodzenia z Kopy Kondrackiej w kierunku Małołackiej Przełęczy idący w rakach turysta potknął się, upadł i doznał kontuzji kolana. Przez telefon komórkowy wezwał ratowników. Kierownictwo akcją obejmuje Roman Kubin. Przy sterach Mi-2 R. Hojdys. Na przełęczy desantują się Roman i Jan Tybor. Za chwilę są przy rannym. Tymczasem na grań napływają chmury uniemożliwiające transport turysty śmigłowcem. Udało się natomiast pilotowi wysadzić następnych ratowników w pobliżu Kamienia w żlebie zbiegającym z Przełęczy pod Kopą Kondracką. Stamtąd idą na nartach, ciągnąc sanie do transportu rannego. Maciej Latasz

---

16 Tenże, *Kronika ratownicza TOPR w 2003 roku*, „Wierchy” 2003.

i Jerzy Maciata docierają do kolegów, wspólnie układają rannego w sianach i zwożą go do schroniska na Hali Kondratowej. Dalej kontuzjowany korzysta z usług skutera śnieżnego i samochodu. Wreszcie szpital. W pięć godzin od alarmu.

W połowie maja podchodzący na Ciemniak turysta poślizgnął się na lodzie i stoczył około 100 m po stromym stoku na stronę Dolinki Mułowej. Był ranny i obolały. Jego towarzysz powiadomił TOPR przez telefon. W pobliżu miejsca wypadku nadleciał Mi-2, z którego desantowali się Edward Lichota i Grzegorz Wiercioch. Szybko dotarli do znajdującego się w stromym terenie rannego i udzielili mu pierwszej pomocy. Następnie ułożyli go w noszach, przenieśli w miejsce, gdzie mógł przyziemić śmigłowiec, i przekazali turystę na pokład. Do szpitala.

Na samym początku września, o godzinie 15.45, nadeszła telefoniczna wiadomość, że pod wierzchołkiem Starorobociańskiego Wierchu zaśląbł starszy turysta. Na pomoc leci Mi-2 z dwoma ratownikami. Tomasz Gąsienica Mikołajczyk i Jan Tybor desantują się na eksponowanej grani nieopodal turysty. W następnym rzucie dociera lekarz ze specjalistycznymi noszami. *Po zaaplikowaniu stosownych leków przez lekarza turystę umieszczono w noszach francuskich i przeniesiono w bardziej dogodnie do przyziemia dla śmigłowca miejsce. O godz. 17.00 był w rękach lekarzy. Jak się okazało, turysta przeszedł wcześniej kilka zawałów serca, jednak miłość do Tatr zwyciężyła i za nic nie chciał zrezygnować ze zbyt forsownych dla niego wycieczek. Tym razem, dzięki szybkiemu transportowi do szpitala, wyszedł z tego zdarzenia bez kolejnego zawału* – komentuje kierujący tą akcją Adam Marasek.

W połowie listopada, tuż po 17.00, telefon: – Jesteśmy w rejonie Jarząbczego Wierchu. Dwóch mężczyzn i kobieta. Mgła, wiatr, śnieżyca. Przemoczeni i bardzo zmęczeni. – Nie wiemy, którędy schodzić, pomóżcie. Marcin Józefowicz jedzie samochodem do Chochołowskiej. Są z nim młodzi: Jakub Stawowy, Bolesław Pietrzyk, Paweł Nadybal. W górach panują surowe warunki: padający nieustannie śnieg, lawiniasto, i noc dodatkowo wzmocniona mgłą. O godzinie 1.30 ratownicy odnaleźli turystów na grani poniżej wierzchołka Jarząbczego. Po nakarmieniu i ogrzaniu trójki turystów rozpoczyna się ich powolne sprowadzanie w dolinę. Jednak turyści słabną. Marcin Józefowicz prosi Centralę o wsparcie. Z Zakopanego wyjeżdża ośmioosobowa druży-

## WOŁANIE W GÓRACH

na i idzie naprzeciw schodzącym. O godz. 11.00 wszyscy bezpiecznie stają w schronisku na Polanie Chochołowskiej.

Adam Marasek zanotował: *Turyści mogą mówić o sporym szczęściu. Wyprawa ratunkowa prowadzona była w trudnych, wręcz niebezpiecznych warunkach. Duży opad śniegu, wiatr – powodowały gwałtowny wzrost zagrożenia lawinowego, które w ciemnościach trudno było ocenić i wybrać właściwą, bezpieczną drogę zejścia*<sup>17</sup>.

Minęło osiem dni i znów telefon. O godzinie 16.00 zgłasza się mężczyzna i powiada: – Znajoma i ja wyszliśmy z Kasprowego Wierchu na zachód. Mgła, wiatr, pada śnieg, dzień ma się ku końcowi. Szlak zasypany. Szczerze mówiąc – nie wiemy, gdzie jesteśmy. Prosimy o pomoc. Pierwsza rada, jaką daje ratownik dyżurny, jest na pozór dziwna: – Odszukajcie słupek graniczny i podajcie nam jego numer. Po chwili już wiadomo – turyści znajdują się poniżej Suchego Kondrackiego Wierchu.

(W Centrali TOPR znajduje się wykaz słupków granicznych z ich numerami porządkowymi i dokładnym zlokalizowaniem każdego z nich. Dzięki czemu można szybko ustalić miejsce pobytu zbłąkanych – oby tylko podali numer...)

A zatem: Suchy Kondracki. Tomasz Gąsienica Mikołajczyk razem z sześcioma kolegami idzie w górę. Jest tak lawiniasto, że podchodzą ramieniem Łopaty. O 19.30 odnajdują turystów, będących zresztą w dobrej formie. Mieli sporo szczęścia, że nie spadli z lawiną do Doliny Cichej.

Nie oddalajmy się daleko, bo oto pod koniec listopada, tuż po 17.00 telefonuje pewien turysta. – Wyszedłem rano z Kasprowego Wierchu w kierunku Kopy Kondrackiej. Kopny śnieg, w ogóle trudne warunki zmusiły mnie do zmiany planów. Zszedłem z Czuby Goryczkowej do Doliny Suchej Kasprowej. Zmęczyłem się zejściem. Co chwilę wpadałem w zasypane śniegiem kosodrzewiny. Mam skurcze mięśni nóg. Opadłem z sił. Grzegorz Bargiel, Bartłomiej Gąsienica Józkowy i Sebastian Szadkowski dochodzą do turysty i sprowadzają go do Kuźnic.

Niby nic: nie ma ostrych grani, przepaści, zagrożenia lawinowego, siarczystego mrozu. A nawet zdrowy i silny mężczyzna może się tak uszarpać brnięciem w głębokim śniegu i wydobywaniem się z objęć ko-

---

17 Tenże, *Kronika ratownicza TOPR w 2004 roku*, „Wierchy” 2004.

sodrzewiny, że padnie bez sił. Pamiętajmy, że w górach warunki pogodowe i właściwości terenu – na przykład brnięcie w śniegu i ugrzęźnięcie w łańchach kosówek – to czasem ważne postaci gry, jaką wędrowiec prowadzi z naturalnym otoczeniem, w którym właśnie przebywa.

W połowie czerwca 2005 r. wczesnym popołudniem przygodny turysta połączył się ze swego telefonu komórkowego z Centralą TOPR: – Słyszę wołanie o pomoc dochodzące z jednego ze żlebów przerzynających południowe stoki Czuby Goryczkowej i Suchych Czub Kondrackich. Henryk Serda i Henryk Florkowski podrywają „Sokoła”. Wojciech Mateja bacznie obserwuje teren. Wnet wszystko staje się jasne. Stromym wyśnieżonym żlebem spadła turystka. Jej mąż zaczął ostrożnie schodzić śladem niekontrolowanego zjazdu, ale przytomnie zatrzymał się nad stromą częścią żlebu. Zaczął wołać o pomoc, co usłyszał wędrujący w tym rejonie turysta...

Nadleciał „Sokół” i Robert Janik oraz Maciej Latasz zjechali na linie w miejsce, gdzie oczekiwał mąż poszkodowanej. Ratownicy zjechali następnie 50 m na alpinistycznej linie i zajęli się poturbowaną turystką. Po paru minutach Janik wraz z ranną, zawieszeni na linie, przeniesieni zostali przez śmigłowiec na Halę Kondratową; tam kobietę umieszczono na pokładzie i zawieziono do zakopiańskiego szpitala. Ten sam manewr powtórzono z Lataszem i mężem turystki.

Cała akcja trwała tylko dwie godziny.

Warto wiedzieć, że turystyczna ścieżka w tym rejonie biegnie wysoko, blisko grani, i że do późnej tatrzańskiej wiosny zalega na niej śnieg: i ten jeszcze z zimy, i ten świeży – padający czasem w końcu maja, a nawet i na początku czerwca. Kobieta miała szczęście, że jej 400-metrowy zjazd zakończył się tylko obrażeniami. Gdyby nie zatrzymała się tuż nad wysokim skalnym progiem, którym urywa się żleb – mogło być znacznie gorzej.

Pod koniec sierpnia, a była już godzina 18.30, telefonuje turysta. – Ja i moja towarzyszką schodzimy z Małołączniaka, jesteśmy w Szarym Żlebie, ale dla mojej partnerki dalsze zejście jest zbyt trudne – powiada. – Może jednak spróbujecie, powolutku, metr za metrem, coraz niżej... – sugerował ratownik dyżurny. – Nie! – usłyszał. Wracamy na grań.

O 21.30 kolejna telefoniczna rozmowa. – Ciemno, a my bez światła. Zimno, a my bez cieplejszej odzieży. Nie damy rady zejść w dolinę.



## WOŁANIE W GÓRACH

Tuż przed północą ratownicy kierowani przez Edwarda Lichotę odnaleźli zziębniętą parę na Małołąckiej Przełęczy.

W połowie stycznia 2006 r. Dariusz K. wybrał się samotnie pod otwór Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Zamierzał wracać zlebem, którym prowadzi szlak. Był grotolazem i zapewne dość dobrze znał te okolice. A jednak zablądził w rejonie Małołączniaka. Nie pierwszy i nie ostatni. We mgle i w śnieżycy błąkał się, nie mogąc trafić na zejściową trasę. Wreszcie natknął się na słupek graniczny. To już było coś. Zatelefonował do TOPR, informując o swojej sytuacji. Podaj numer słupka – usłyszał. I po chwili spokojny głos ratownika: – Jesteś w pobliżu Małołąckiej Przełęczy. Powinieneś schodzić przez Kopę Kondracką na Hałę Kondratową. Była godzina 16.10. Dariusz podziękował i dodał, że „siada” mu telefon komórkowy. Od tego momentu nie było z nim kontaktu. Gdy po trzech godzinach grotolaz nie dotarł do schroniska, Adam Marasek wysłał w góry cztery patrole. Noc, mgła, wiatr, lawinia-sto, trudności z orientacją. Szczęśliwie o 22.30 Jakub Brzosko i Maciej Latasz odnaleźli poszukiwanego. Siedział w rejonie Suchego Wierchu Kondrackiego w wygrzebanej przez siebie śnieżnej jamie. Teraz może opowiedzieć ratownikom o swojej przygodzie. Zgodnie ze wskazaniem zaczął schodzić w stronę Kondratowej, ale – znów zablądził. Dość szybko zorientował się, że jest po słowackiej stronie, nad Doliną Cichą. Wrócił więc na grań i krążył tu i tam, chcąc trafić na szlak zejściowy. W końcu – wygrzebał jamę. I doczekał się pomocy.

Na początku lutego, była godzina 23.00, do TOPR dotarła wiadomość, że do Wojskowego Ośrodka Szkoleniowego na Groniku koło Zakopanego nie wrócił chorąży Krzysztof R. Może poszedł na Czerwone Wierchy, może do znajomego w Zakopanem... Dość lekko ubrany. A tu pełna zima. Zaczyna się rutynowe sprawdzanie: Straż Graniczna, Policja, szpital, schroniska. Cisza. Nazajutrz rankiem Wojciech Mateja ze swoją ekipą wsiada do śmigłowca kierowanego przez Henryka Serdę i Roberta Augustynowicza. O 8.45 wypatrzone ludzką postać na zboczu Małołączniaka po stronie Doliny Litworowej. Za moment przy turyście jest lekarz-ratownik Sylweryusz Kosiński, a także ratownik Stanisław Krzeptowski Sabała. Tak, to nasz chorąży. Przytomny. Wy-chłodzony, odmrożony, z zaburzeniami wzroku. Szybko na pokład. O 9.11 – szpital. Temperatura ciała uratowanego zaledwie 32°C. Wyso-

ko w górach Krzysztofa pochwyliło załamanie pogody: mróz, opad śniegu, dość silny wiatr. Błądził. Przetrzywał trudną noc.

22 października 2007 r. o godz. 18.10 telefonują turyści. Trzech mężczyzn. Podczas zejścia z Małołączniaka ku Dolinie Miętusiej – zgubili szlak. Nie mają światła. A tu mgła, padający śnieg, silny wiatr, ciemno. Adam Marasek radzi, aby wrócili na Małołączniak po własnych śladach i tam czekali... O 21.40 spotkanie na szczycie. Pakiety grzewcze. Dobre słowo, latarki na czoła i w bezpieczną dolinę. Mija północ. Wszystko kończy się dobrze. Adam zanotował, że turyści *prawdopodobnie nie przetrzymaliby nocy na grani w tych warunkach*.

W cztery dni później, 26 października, około 20.00 telefonują gospodarze schroniska na Hali Kondratowej, że pojawił się u nich mężczyzna zachowujący się nietypowo, jakby cierpiał na zaburzenia psychiczne. Niepokojące jest – dodają – że ten dziwny gość chce iść na Giewont, aby „umrzeć za Polskę”. W tej chwili rozmawia z nim psycholog, który akurat nocuje w schronisku. Z jednej strony – trzeba na serio potraktować taką informację i powiadomić odpowiednie służby: Policję i Straż Graniczną. Z drugiej zaś – nie wolno zapominać, że ów domniemany „nietypowy” może nie potrzebuje pomocy. Z trzeciej strony – pomoc nie może przerodzić się w ściganie człowieka... Roman Szadkowski miał pełną świadomość złożoności sytuacji. A tymczasem kolejny telefon: – Gość uciekł ze schroniska! Roman rusza na poszukiwania, mając do pomocy: Edwarda Lichotę, Andrzeja Maraska i Tomasza Wojciechowskiego. Rychno okazuje się, że mężczyzna poszedł w stronę Przełęczy Kondrackiej. Tuż przed północą Roman i Andrzej spostrzegli na grani Suchego Wierchu ślady prowadzące na wschód. Po godzinie ratownicy spotkali poszukiwanego na trawersie Pośredniego Goryczkowego. Posłuchajmy Romana: *Turysta nie odzywa się do nas, tylko próbuje rozmawiać „na mię”, nie jest agresywny, chociaż próbował nam uciekać w kierunku Kasprowego (...). Po dojeździe do samochodu turysta odzyskuje głos i tłumaczy, że nie odzywał się, ponieważ w górach należy zachować ciszę, a w stronę Kasprowego poszedł, ponieważ tam wskazała mu drogę sowa, przelatująca nad nim; i uciekał nam, ponieważ musiał tam dojeść i spełnić „swoją misję”*. Bracie mój – nieco zagubiony. Masz rację: w obliczu majestatu natury należy zachować ciszę, każdy z nas ma swoją sowę, każdy chce gdzieś dojeść i wypełnić misję...

## WOŁANIE W GÓRACH

W połowie września 2008 r. tak sypnęło śniegiem, że zrobiła się istna zima. Nie zważając na trudne warunki, w góry wybrała się pewna pani. 26 września w południe alarm: Turystka spadła do Cichej. Mieczysław Ziach ze swoją drużyną już jest w wagoniku kolejki, już rusza granią, już jest na trawersie Czuby Goryczkowej i w półtorej godziny od zawiadomienia pochyla się nad ranną. Teresa B. ma kontuzję nogi, jest też poturbowana po spadaniu stromym stokiem. *Przyczyną wypadku było oberwanie się płata śniegu spod nóg turystki, w konsekwencji upadek 200 metrów, zakończony szczęśliwie dzięki nawianej poduszce śniegu – turystka poruszała się w rakach, ale bez czekana* – zanotował kierownik akcji. Opatczenie rannej, nosze, i transport w dół, w słowacką dolinę. Tysiąc metrów. Ciężka praca. Wymieńmy tych, którzy pod wodzą Mieczysława transportowali turystkę: G. Bargiel, S. Bobak, B. Gąsienica Józkowy, W. Floryn, A. Krzeptowski Sabała, A. Mikler, P. Nadybal, B. Stoch Michna, Z. Tabaczyński, T. Witkowski. W dolinie czekał na nich samochód HS. Smokowiec, Łysa Polana, Zakopane. O 20.10 ranna znalazła się w szpitalu.

Połowa lutego 2009 r. Tuż po północy poprosili o pomoc trzej taternicy, którzy po wspinaczce na Wielkiej Turni... *Zerowa widoczność, mgła, wiatr, sypiący śnieg spowodowały, że stracili orientację (...). Czteroosobowa ekipa ratowników wyruszyła na Kondratową i dalej w kierunku Przełęczy pod Kopą. Ze względu na duże zagrożenie lawinowe i kiepską widoczność ratownicy postanowili wykopać jamę śnieżną i zaczekać do świtu (...). O godz. 9.43 dotarli w rejon Małołączniaka, gdzie napotkali oczekujących na pomoc taterników. Napoili ich gorącą herbatą z termosów i ogrzali pakietami grzewczymi. Następnie, za pomocą GPS-u, gdyż wiatr zawiął ślady, a mgła nie ustąpiła, sprowadzili poszkodowanych na Kondratową i dalej skuterem przewieźli do Kuźnic. Niefortunny powrót ze wspinaczki taternicy przypłacili odmrożeniami* – czytamy w kronice<sup>18</sup>. Pozwolę sobie na uwagę, że w sumie ów powrót był jednak szczęśliwy. Gdyby taternicy próbowali sami schodzić, mogliby skończyć w lawinie. Gdyby ratownicy (Grzegorz Bargiel, Witold Cikowski, Jan Gąsienica Roj II, Marcin Józefowicz) pchali się na osłep w górę – mogłoby dojść do tragedii. Minął rok i u podnóża

---

18 Tenże, *Mroczno-biały czas*, „Tatry” 2009, nr 2.

Wielkiej Turni ratownicy znaleźli dwóch martwych wspinaczy: Marcina T., lat 25 i Michała M., lat 30. Byli związani liną. Jak doszło do wypadku? Zapewne taternicy pokonali już główne trudności i poruszali się bez sztywnej asekuracji. Może urwała się pod nimi śnieżna deska? Może jeden z nich potknął się i pociągnął partnera? Spadli z wysoka.

Czasem zwyczajne turystyczne wyjście w góry kończy się wzywaniem pomocy. 2 stycznia 2010 r. o 16.55 w TOPR dzwoni telefon: trzy osoby – dwie kobiety i mężczyzna – odzywają się z wierzchołka Starorobociańskiego Wierchu. Bez światła, bez raków, bez czekanów. Narzekają na zimno. Andrzej Krzeptowski Sabała zbiera ekipę – P. Gruszka, B. Pietrzyk, Z. Tabaczyński – i rusza w góry. O 21.00 ratownicy są przy turystach. Jeszcze tylko parogodzinne sprowadzanie. I wreszcie schronisko. 30 czerwca tegoż roku około 16.20 dwoje turystów – Anna i Andrzej – schodziło z Wołowca ku Dziurawej Przełęczy: kobieta poślizgnęła się na ścieżce i spadła *przez skałki i strome trawy w stronę Doliny Jamnickiej* około 150 m, doznając poważnych obrażeń. Mężczyzna też stracił równowagę, ale zdołał się zatrzymać, i to on zatelefonował pod słowacki numer 112 – Zintegrowany System Ratownictwa w Żylnie. Do TOPR wiadomość o wypadku dotarła o 16.50 i natychmiast ruszyła akcja. Za sterami sokoła H. Florkowski i A. Łuboczko, na pokładzie P. Bukowski oraz: W. Cikowski, W. Floryn, S. Krzeptowski Sabała i Daniel Puchalski. Desant. Udzielanie pierwszej pomocy nie tylko Annie, ale i Andrzejowi. Jeszcze przed 18.00 oboje znaleźli się w zakopiańskim szpitalu.

28 sierpnia po południu załamanie pogody: deszcz, wiatr, zimno, mgła. Jest 19.05. Na Dziurawej Przełęczy dwaj mężczyźni z obrażeniami po upadku w skalnym terenie. W tych warunkach śmigłowiec jest nie do użytku. Dwa samochody podwożą dokąd się da drużynę pod kierownictwem Macieja Pawlikowskiego. O 22.27 ratownicy docierają do rannych i zziębniętych turystów. Rutynowe działania. Znoszenie jak za dawnych lat. Mija pracowita nocka. O 5.30 nazajutrz rannych przejmują lekarze w szpitalu.

28 stycznia 2011 r. po południu młody mężczyzna wystartował na swoim „skrzydle” z wierzchołka Małołączniaka, ale nie uleciał daleko. Jego *glajt „sflaczał”* i młodzieniec *zaczął spadać*. Po kontakcie ze

## WOŁANIE W GÓRACH

śniegiem urwał się z nawisem i spadł kilkadziesiąt metrów, może około 100 m. Nic mu nie jest, ale boi się wyjść na grań, bo twierdzi, że nawis może się urwać ponownie – tak Edward Lichota zanotował telefoniczne zgłoszenie o tym zajściu. Pogoda była na tyle łaskawa, że szybko zjawili się śmigłowcem ratownicy i wydobyli paralotniarza tkwiącego na zaśnieżonym stoku w Tomanowych Rzędach.

Minął rok. 9 stycznia 2012 r. o godzinie 7.35 ratownik w Centrali przyjmuje wiadomość: Trzech mężczyzn biwakuje już dwie doby na grani między Jarząbczym Wierchem a Kończystą. Boją się schodzić. Zrobiło się lawiniasto. Warunki pogodowe uniemożliwiają użycie śmigłowca. Cała nadzieja w samochodzie terenowym w rękach Jerzego Maciaty, a następnie w kwalifikacjach psychofizycznych ratowników. Piotr Konołka, Władysław Kuba Floryn, Tomasz Michalik i Andrzej Górka mają typowe zadanie: dotrzeć do potrzebujących pomocy i sprowadzić ich w bezpieczną dolinę. Działać trzeba w tym nigdy nieprzedawnionym klasycznym stylu – wiatr, mróz, mglisto, mozolna praca w świeżym śniegu podatnym na obryw... Choćbyś miał w swoim górskim życiorysie góry wysokie i najwyższe, zjazdy na nartach Zachodem Grońskiego w Wołowym Grzbiecie i Rysą w Rysach, choćbyś był czołowym polskim przewodnikiem wysokogórskim, choćbyś miał w swoim ratowniczym dorobku wiele trudnych i błyskotliwie przeprowadzonych akcji – tu jesteś sam na sam wobec zwyczajnej, prozaicznej i poniekąd banalnej sytuacji. Dojść na grań. I sprowadzić tych trzech...

Po paru godzinach podejścia pomimo bardzo trudnych warunków (b. silny wiatr stały, b. zła widoczność, zagrożenie lawinowe 3. stopnia) wyprawa dotarła do oczekujących turystów tuż pod wierzchołkiem Jarząbczego Wierchu. Ratownicy witają się z oczekującymi pomocy. I ostrożnie w dół. O 18.35 w Centrali TOPR.

16 lutego 2013 r. o godzinie 22.00 dwoje turystów zawiadamia, że nie potrafią sami zejść ze Starorobociańskiego Wierchu. Samochodem do Doliny Chochołowskiej wyjeżdża Jan Gąsienica Roj II ze swoją ekipą – Stanisławem Bobakiem, T. Królem i M. Tragarzem. Krowim Złebem przez Trzydniowiański i Czubik pną się ku grani głównej i o 2.20 są przy turystach. Wszystko się dobrze zakończyło<sup>19</sup>.

---

19 Por. tenże, *Dużo śniegu, mało słońca*, tamże, 2013, nr 2.

## CZERWONE WIERCHY – I NIE TYLKO ONE

28 września 2016 r. o godzinie 19.16 do TOPR zadzwonił 19-letni turysta, informując, że wraz z 17-letnim bratem schodzili z Ciemniaka w kierunku Chudej Turni. W tamtym rejonie zbczyli ze szlaku, zeszli do Doliny Mułowej i dalej idąc (Progiem Mułowym), utknęli w stromym eksponowanym terenie, z którego nie są w stanie się wydostać. Robi się ciemno, a oni nie mają światła. Z Centrali wyruszyła pięcioosobowa ekipa ratowników pod kierownictwem Mariusza Rogusa, z zadaniem zlokalizowania turystów. O godzinie 22.35 ratownicy odnaleźli braci w dolnej części Mułowego Progu, założyli stanowisko i zjechali do oczekujących na pomoc. Po założeniu uprzęży ewakuacyjnych turyści wraz z towarzyszącym im ratownikiem zostali opuszczeni na linach do podstawy ściany. Następnie sprowadzono ich do Doliny Miętusiej, skąd samochodem przewieziono do Zakopanego. Jak się okazało, dwaj młodzi turyści z Warszawy – bez odpowiedniego wyposażenia, umiejętności czy górskiego doświadczenia – świadomie zeszli ze szlaku do widocznej niżej Dolinki Mułowej, a z niej zaczęli schodzić eksponowanym progiem w dół. Doszli do miejsca, skąd nie było już odwrotu. Na szczęście nie próbowali dalszego zejścia, które najprawdopodobniej skończyłoby się upadkiem z wysokości.